

Wesela

STEFAN
OTWINOWSKI

Notes

KRAKOWSKI

Prawdą nie podlegającą chyba dyskusji byłoby to, że scena Teatru im. Słowackiego ma najtrwalszą i najpiękniejszą w kraju tradycję. Czy można się zatem dziwić, że 75-lecie myrów, że jubileuszowy obchód wzruszał, i to ludzi młodszych także... młodszych, myślę, ode mnie. I ludzi mniej związanych z Krakowem — ode mnie. W czasie wcale nie nudnej akademii przypomniano w tele spraw i wiele tekstów. Odczytano na przykład mowę pierwszego dyrektora, Tadeusza Pawlikowskiego: „...wiemy, że w naszych rękach spoczywa częśćka siły i honoru naszego społeczeństwa”. O, to pewne, scena ta dobrze się przysłużyła społeczeństwu i kulturze nie tylko miasta. Adam Asnyk napisał na otwarcie teatru specjalny wiersz; przypominała go nam Alicja Matusiakówna. Czy można bez wzruszenia słuchać strof Wyspiańskiego: „Teatr mój widzę ogromny”, gdy padają ze sceny, o której myślał Poeta pisząc i widząc swoje „Wyzwolenie”?

Wieczorem dano premierę „Wesela” w reżyserii Lidii Zamkow. Napiszą o przedstawieniu krytycy zawodowi i na pewno niejedyn z nich nazwie spektakl kontrowersyjnym. Wspominałem już, że krytycy ogromnie lubią ten przymiotnik. Proszę bardzo, niech sobie nazywają rzeczy, jak im się podoba. Dla mnie Wyspiański istnieje tu tak właśnie, jak go rozumiem, a rozumieć coraz lepiej, że nie pisał nigdy niczego dla pokrzepienia serc. Nie zgadzali się z Sienkiewiczem — o, już Zeromski z pewnością był mu bliższy! Zwłaszcza wtedy, gdy mówił, że t r z e b a r o z r y w a ć r a n y. Tak, nic z stenkiwiczowskiej i a s k a w o ś c i, nie zauważyłem ani w tej oto — której z kolei! — krakowskiemu premierze „Wesela”, ani też w całej twórczości Wyspiańskiego. A przestudiowałem ją ostatnio gruntownie.

Ale widzę, że moich korespondentów interesuje bardzo, „jak grają aktorzy, ci nowi krakowscy, z któ-

rych p. Greń tak często bywa niezadowolony”. Przyznaję, że z p. Greńem nie jest łatwo, choć ogromnie to cywilizowany człowiek. Mnie aktorzy w „Weselu” — ci młodzi krakowscy — podobali się. Oczywiście, gdybym pisał recenzję wyróżnionym wielu, innych może i zganili. Ale w felietonie wymienię tylko Arkadiusza Bazaka w świetnej roli Dziennikarza, i jako Poetę Leszka Herdegena — no, jemu łatwiej, bo sam jest poetą — i Teresę Budzisz-Krzyżanowską, która grała Rachelę. Widziałem w ciągu czterdziestu pięciu lat — tak długo chodzę do teatru — wszystkie niemal najlepsze wykonania tej roli, ale Rachel w przedstawieniu Lidii Zamkow wydaje mi się najbardziej interesująca, najgłębiej przemyślana, w czym naturalnie zasługa również koncepcji reżyserskiej.

Wróćmy jednak do teatru i osobistych rachunków do biurka i redakcyjnej poczty: ile to przywiązania mają nasi ludzie do tej właśnie sztuki i jak ciągle żywa jest geniza i legenda bohaterów dramatu. Pisze do nas dr Władysław Mielnik z Kudowy-Zdroju, informując, że przez kilka pierwszych lat powojennych pracował tam dr Henryk Singer, polk. lek. „Był on wnukiem karczmarza z Bronowic, a jego ciotka, Rachel z „Wesela” Wyspiańskiego, odwiedzała go kilkakrotnie w Kudowie”. Doktor Singer umarł wkrótce po przeniesieniu się z Kudowy do Krakowa. List swój tak kończy nasz korespondent: „W pamięci otoczenia pozostał jako przemiły lekarz o dużej wiedzy, kultu-rze osobistej i niemniejszym poczuciu humoru, interesujący się literaturą i żartobliwie podkreślający swoje, choć pośrednie, powiązania rodzinne z twórczością Wyspiańskiego”. Korzystam z okazji żeby podziękować dr Mielnikowi i za wiadomość tę i za dobre słowa pod adresem naszej redakcji.

Nawiążę teraz do starej tradycji „Czasu” — hoc felieton mój chce być zarazem kroniką miasta — i po-

wiem, że na jubileuszowym przedstawieniu jedna z wnuczek poety i prawniczka wystąpiły w ludowych krakowskich strojach i doskonale w nich wyglądały. Zręcznie i licznie działający fotografowie uwiecznili moment, kiedy to minister Motyka, pięknie i atletycznie zbudowany, chwyta lekko i unosi w górę niemal baletowo obie panienki. Szkoda, że nasze pismo drukuje się na tak lichym papierze... Dodam, że minister był w czasie premiery w stroju też ładnym, acz konwencjonalnym.

Na koniec kilka słów o książce, której fragmenty można by potraktować jako aneks do krakowskich uroczystości. Mam na myśli biografię Kazimierza Tetmajera, pióra Krystyny Jabłońskiej. Poetę w „Weselu” przywykliśmy łączyć z nazwiskiem autora „Zawiszy Czarnego”. Wyobraźnia lubi takie podpórki i rekonstrukcje. Nic w tym złego, byle zjawisko pozostawić w określonych granicach. Wyspiański, biorąc wzór z rzeczywistości, da pieruszeństwo nawet nie fantazji, lecz ciężkiej pracy umysłowej w l a s n e j.

Był okres, kiedy Tetmajer, świetny liryk, drażnił sentymentalnie i neurotycznie wielki krap młodych kobiet. Wrażliwych tak, jak musiała być w swej młodości wrażliwa panna Singer... Wszystko to trwało bardzo krótko. Książka biograficzna Krystyny Jabłońskiej to przejmujące w swej prawdzie dzieło o losach pisarza dreczonego niemal przez całe życie własną, dramatyczną trudną psychologią. Człowieka skłonnego do ciągłych uraz, chorobliwie ambitnego, miotającego się wśród zmiennych okoliczności życia i wreszcie pokonanego przez przewlekłe cierpienie psychiczne Kiedyś takie cierpienie oficjalna medycyna określała z literackim smutkiem: melancholia.

Nie, nie uda mi się, tak jak być może innym widzom teatralnym, zobaczyć w Poezcie z „Wesela” Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Widywałem go z y w e g o często na Krakowskim Przedmieściu i tak już go będę pamiętał: starca w ostatecznym smutku. Z tym w dodatku urojeniem, że go „wszyscy” chcą otruć. Nie można go było namówić, by w barze na Trębackiej wypił przyniesioną przez kelnera herbatę. Nie — czeka na wrzątek, potem ostrożnie z jednej kieszki wyjmując zawinietko z cukrem, z drugiej suche listki herbaty. Wsypie je do szklanki i będzie milczał przez godzinę, przez lata, aż do śmierci.

STEFAN OTWINOWSKI